

„Dzień dobry i do widzenia“

665
Dopiero w czas niepogody, albo pogody niesprzyjającej, można się przekonać — kto chodzi do teatru dla przyjemności, a kto ze snobizmu czy z tzw. musu. Premiery (zwłaszcza prasowe) jeszcze bardziej wyostają te stopnie zażyłości z teatrem. Wiadomo bowiem, że co najmniej połowa miejsc na sali, to zaproszenia czyli bilety darmowe. Jeśli więc powiem, że Teatr Kameralny był w trzech czwartych zapełniony, mimo tego mrozu — to chyba nie tak źle z tymi miłośnikami sceny. Zapewne przyczyniła się do tego sama sztuka: „Dzień dobry i do widzenia” A. Fugarda, autora południowo-afrykańskiego — jak i fakt, że prawie nikt jej nie znał. Większym magnesem był występ Anny Polony w podwójnej roli: aktorki i reżyserki spektaklu, oraz Jerzego Radziwiłowicza, jako jej partnera scenicznego (desygnowanego do roli Hamleta w niedokończonyj przez K. Swinarskiego inscenizacji Szekspirowskiego arcydzieła).

Sztuka Fugarda nie jest arcydziełem. Pokazuje, jak wiele jej podobnych, maski dwojga ludzi — brata i siostry — w które ubrało ich nieudane życie. Maski opadają, gdy do rodzinnego domu, gdzie brat opiekował się kalekim ojcem, wraca siostra, uprawiająca najstarszy zawód świata. Wynika z tego, że ani on, ani ona nie są tymi, których się w sobie spodziewają i obawiają. Trochę to pokretne, trochę histeryczne, trochę gniewne, bebeczowo-naturalistyczne i trochę sztuczne. Ale grane — w myśl wymienionych cech — z dużą sugestywnością.

Niektórzy widzowie-koneserzy narzekali, że to nudnawe. Niektórzy też mieli maski na twarzach. Paru krytyków było nieobecnych, choć przebywali na sali, Dyr. Gawlik pojechał do Moskwy. Innych dyrektorów nie zauważyłem. Została nam atmosfera premiery bardzo kameralnej. I mocne wrażenia z gry Polony. Dekoracje Skarżyńskich ujawniły się dopiero w ostatniej scenie, jakby chciały wyrazić swoje „dzieńdobry” i zaraz „dowidzenia”,

JERZY BOBER